

EWA KROJEC

ur. 1950; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, Lubartów, Rogóżno, PRL
Słowa kluczowe	projekt Lublin. Opowieść o mieście, stan wojenny, utrudnienia w komunikacji, przepustki

Stan wojenny

Stan wojenny wrył mi się w pamięć. W stanie wojennym już nie mieszkałam w Lublinie. Mieszkałam w Lubartowie, miałam dwoje dzieci. Stan wojenny zastał mnie tak, że chciałam do mamy zadzwonić, nie mogłam, bo „rozmowa kontrolowana”, przerywało mi coś w telefonie, nic nie mogłam kupić. Mojego męża nie było, mój mąż pracował na KUL-u i był wtedy na obozie ze studentami. A ja z tymi dziećmi ani się ruszyć, ani co kupić, koniecznie chciałam się dostać do Lublina do mamy. Uważałam, że najlepiej u mamy, bo mnie od razu tak się kojarzyło z wojną. Jakoś zadzwoniłam, a mama mówi: „Dziecko, przeżyłam wojnę, to przeżyję i stan wojenny”, bo jeszcze jej radziłam, żeby sobie wody do wanny napuściła, żeby chleb kupiła – tak słyszałam i takich porad jej udzielałam. Koniecznie chciałam się wydostać z tego Lubartowa, bo byłam sama z dziećmi – albo do mamy, albo do męża. Komunikacja też już nie chodziła. Jakoś wyjechałam – łączonymi [środkami transportu] – to autobusem, to potem na jakiejś pacy z łubiankami. Mój mąż był w Rogóżnie – to Pojezierze Łęczyńskie, tam KUL miał ośrodek – i się do niego tam dostałam. Uważałam, że razem z nim to przeżyję. A oni czekali tam na studentów, że przyjedzie zmiana. Przyjechała opóźniona, dlatego że pociągi nie dochodziły do Lublina, stawały gdzieś tam na stacji i [studenci] musieli się przedostawać do tego Rogóżna, tak że praktycznie przez te dwa tygodnie to raczej dojeżdżali niż byli [na miejscu]. W Rogóżnie jakoś się tam łapało [Radio] Wolną Europę i słuchało jakichś informacji. Potem były [różne inne] utrudnienia. Mój mąż dojeżdżał do pracy – KUL, wiadomo, inne środowisko, więc specjalne przepustki musiał mieć, żeby się dostać. To był taki okres, gdzie znajomych mojego męża [i jego samego] koniecznie chciano powołać do służby wojskowej albo do ZOMO, więc [oni] musieli w jakiś sposób się nie dać, nie przyjmować tych zawiadomień, które przychodziły, [aby] gdzie się stawić, czy w ogóle się nie stawiać, wszyscy chowali się, gdzie mogli. Jak najpierw KUL-owców nie brali nigdzie, nie chcieli, tak później wszyscy się nadawali. Ciężko było. [Jadąc] autobusem do Lublina [mijało się] dwie rogatki po drodze, gdzie była kontrola,

sprawdzano, czy ma się przede wszystkim jakąś przepustkę, żeby można było wyjechać i co [się] wiezie. Okropnie to wyglądało. Na trasie Lubartów-Lublin raptem w Niemczech jakiś szlaban, ludzie uzbrojeni, stoi samochód wojskowy, człowiek nie wie, kto wejdzie, kogo się czepi i za co. No i [były] te wszystkie niedogodności związane z zaopatrzeniem, przecież nic nie można było kupić, wszystko na kartki. My nie byliśmy zaangażowani w jakąś działalność polityczną w tym czasie.

Wesele mieliśmy w stanie wojennym, na które musiałam załatwiać przepustki, żeby pojechać. A chcieliśmy pojechać, bo to w najbliższej rodzinie, to nie tak daleko, okolice Międzyrzecza Podlaskiego. Musiałam najpierw dostać zaproszenie na to wesele. Ładne zaproszenie – było opieczętowane, skąd przyszło, że jednak jest ten ślub i wesele. W starostwie w Lubartowie była potrzebna książeczka wojskowa mojego męża i baliśmy się, że jak książeczka wojskowa, to jeszcze gdzieś go tam zabiorą do wojska czy ZOMO. Ponieważ pracowałam w Lubartowie, więc szukałam różnych dojeżdż, żeby jakoś to ominąć. Przybili nam tą zgodę na dwa dni – na wyjazd i powrót, trzeba było w tym czasie wrócić. To się człowiekowi w głowie nie mieści. Inaczej do tego podchodzili ludzie starsi, którzy przeżyli wojnę – uważali, że to tak, jak następna wojna, przeżyli jedną, przeżyją drugą, może tak emocjonalnie do tego nie podchodzili, [bo] przeżyli jeszcze gorsze rzeczy. Takie właśnie były niedogodności z kupieniem czegokolwiek, z poruszaniem się gdziekolwiek. Tym bardziej, że człowiek nie miał własnego środka lokomocji, więc musiał korzystać z tego publicznego, a jeszcze jak to nie jeździło... Jak chciałam wyjechać z Lubartowa, stałam na przystanku, ktoś mi mówi, żebym nawet nie stała. Nie tylko ja stałam. Nie ma mowy, żeby się gdzieś wydostać. Tylko dzięki temu, że ludzie wtedy zrobili się bardziej przychylni jedni drugim i zaczęli sobie nawzajem pomagać, zobaczyli kobietę z dzieckiem i wózek taki – składana parasolka – bo więcej nic nie miałam, jakąś siatkę chyba, zabrali mnie i tak dojechałam do Lublina. W Lublinie też w jakiś [pojazd] wsiadłam, dzięki czyjejs uprzejmości, i pojechałam na łubiankach z małym dzieckiem.

Data i miejsce nagrania	2012-05-17, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"